NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 395·20 Mk. Rocznie 790·40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—, za wiersz nonparellowy, jednoszpaltowy 10 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 672.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 16 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 7. maja 1921. Nr. 19.

W stuletnią rocznicę śmierci Napoleona



W stuletnią rocznicę śmierci Napoleona.

(Do illustracyi tytułowej).

Sto lat mija w dniu 5 maja b. r. od chwili śmierci cesarza Francuzów, Napoleona, wygnanego przez Anglików na wyspę św. Heleny.

Francya, choć dziś republika, obchodzi uroczyście stuletnią rocznicę śmierci swego bohatera, a wspólnie z nią jej przyjaciele i sojusznicy. Zwłaszcza Polska, związana obecnie silniejszymi węzłami z Francyą, bierze żywy udział w tem święcie bratniego narodu. W dziejach narodu polskiego odegrał Napoleon bardzo ważną rolę, a między ówczesnymi a obecnymi stosunkami panuje dziwna analogia. Na przełomie ośmnastego i dziewiętnastego stulecia garnęli się Polacy pod napoleońskie sztandary, chcąc w ten sposób spieszyć z pomocą zagrożonej Ojczyźnie. Nadzieje zawiodły, polska krew polała się obficie na pobojowiskach całego świata, męstwo polskiego żołnierza, budzące ogólny podziw, nie osiągnęło spodziewanego rezultatu. Napoleon był wielkim wodzem, ale krótkowzrocznym politykiem, zbyt zaufał swej szczęśliwej gwieździe i to go zgubiło, a wraz z nim pogrzebało i nadzieje tych, którzy je wiązali z jego osobą i obietnicami.

I trzeba było całego wieku, aby spełniły się nadzieje narodu polskiego, pragnącego widzieć swą Ojczyznę wolną i zjednoczoną. Stało się to dzięki wojnie światowej, która znów zbliżyła do siebie Polskę i Francyę i kazała im stanąć do wspólnej walki z zagrażającą obydwu potęgą rozzuchwalonego Krzyżactwa. Dzieło zaczęte przed wiekiem, dziś oddać może sprawie ugruntowania światowego pokoju nieocenione usługi, zjednoczone ze sobą Polska i Francya muszą się stać równoważnikiem niemieckiej przemocy i unieszkodliwić jej pochód rabunkowy ku Wschodowi i Zachodowi. Zbliżenie to dwu bratnich narodów, związanych ponadto wspólnym interesem jest zasługą obecnych kierowników polityki polskiej i francuskiej, Piłsudzkiego i Millerandu, ono też każe nam wziąć tem żywszy udział w obchodzie stuletniej śmierci Napoleona, zwłaszcza, że w ten sposób oddajemy również hołd i naszym własnym bohaterskim wysiłkiem, które sto lat temu taką chwałą okryły oręż polski.



Naczelnik Państwa w Krakowie: Naczelnik Państwa opuszcza po oficyalnem powitaniu krakowski Dworzec kolejowy.

Naczelnik Państwa w Krakowie.

W dniach 28 i 29 kwietnia b. r. gościł w murach Krakowa Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. Do grodu podwawelskiego przybył na zaproszenie Senatu *Almae Matris Jagellonicae*, która odznaczyła go tytułem honorowego doktora prawa.

Przyjazd Naczelnika nastąpił we czwartek rano.

Z powodu ulewnego deszczu — zgromadziła się publiczność przeważnie przed dworcem, a szpaler z dworca do starostwa tworzyły krakowskie oddziały wojskowe.

Na pięknie udekorowanym zielenią, kwiatami oraz barwami narodowemi dworcu kolejowym ustawiła się kompania honorowa gł. centrum wyszkolenia przy D. O. G., oraz orkiestra 20 p. p.

Na powitanie Naczelnika Państwa jawili się reprezentanci władz wojskowych oraz przedstawiciele władz państwowych i miejskich.

Koło godz. 10 tej zajechał pociąg z Warszawy, wiozący Józefa Piłsudskiego. W chwili, gdy pociąg wjeżdżał na stacyę sygnalizowany syrenami, ustawione na ulicy Pawiej armaty dały sześć strzałów honorowych. Rozległ się hymn państwowy. Z wagonu wysiadł Naczelnik Państwa w otoczeniu swej świty. Po przywitaniu się z władzami przeszedł Naczelnik Państwa przed frontem honorowym. Wojsko prezentowało broń. Następnie Naczelnik Państwa skierował swe kroki ku salonowi przyjęć, gdzie delegatka Ligi kobiet wręczyła bukiet kwiecia, a prezydent miasta imieniem Rady m. i mieszkańców wygłosił mowę powitalną. Stąd w powozie zaprzągniętym w białe konie udał się Naczelnik Państwa na skromne śniadanie do starostwa, poprzedzony szwadronem 8 pułku ułanów im. Ks. Józefa Poniatowskiego.

Po godz. 11-tej Naczelnik Państwa przybył do Uniwersytetu na uroczystość wręczenia mu dyplomu honorowego doktora praw.

U bram Uniwersytetu oczekiwał Naczelnika Państwa rektor Estreicher w otoczeniu dziekanów oraz bedelów z berłami uniwersyteckiemi. Po przywitaniu Naczelnik Państwa udał się do auli, gdzie zgromadzeni byli wszyscy profesorowie Uniwersytetu, ks. biskup Sapieha, ks. biskup Nowak, reprezentanci wojskowości, władz rządowych i autonomicznych oraz akademicy. Wchodzącego do auli powitali obecni przez powstanie oraz wzniesienie trzykrotnego okrzyku na Jego cześć.

Naczelnik Państwa zajął miejsce na przygotowanym fotelu naprzeciw katedry rektoralnej, tonącej w powodzi kwiecia i palm.

Rektor dr. Stanisław Estreicher wygłosił do Naczelnika uroczystą przemowę, poczem dziekan Wydziału prawa prof. Kutrzeba wręczył nowemu doktorowi dyplom doktorski, wyłuszczając motywy, które grono profesorów skłoniły do odznaczenia go tym zaszczytem.

Tekst dyplomu doktorskiego dla Naczelnika Państwa brzmi w przekładzie polskim w najważniejszym ustępie, jak następuje:

„My... Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego i Dziekan Wydziału prawa... obdarzamy godnością doktora prawa z tytułu uczczenia zasług (honoris causa) Męża Przesławnego Józefa Piłsudskiego, obywatela miłością Ojczyzny najgoręcej płonącego, który przewidział chwilę opadnięcia z Ojczyzny kajdanów, kiedy wszyscy odkładali nadzieję do dalekiej przyszłości, który już wówczas żył myślą w wolnej Polsce i dla jej dobra i szczęścia snuł plany. Wyswobodziciela, który tęsknie wyczekiwany, wrócił nareszcie od wrogów i jednem wstrząśnieniem ręki zrzucił z rodaków cudem jakoby ostatnie pęta, Bohatera, który potem w najcięższych warunkach stworzył niestrudzoną pracą Wojsko Polskie, chlubę Narodu i ostoję jego bytu, a na jego czele wskrzesił dla Polski czasy Bolesławów i Batorych, Męża,



Naczelnik Państwa w Krakowie: Oddział 8 pułku ułanów im. Ks. J. Poniatowskiego, przeznaczony do honorowej eskorty pojazdu Naczelnika.

który, choć żołnierz z umiłowania i zawodu, najgłębiej wczuł się w ducha naszych dziejów, kiedy na pamiętnem posiedzeniu Sejmu Polskiego dn. 20. lutego 1919 oświadczył, że na to przyjął władzę, aby wolną Polskę oddał pod rządy prawa, aby miał dowód, że uczucia całego Narodu dla niego dzielą ci, których zawodowa praca nauczyła trzeźwo i beznamiętnie oceniać bieg historyi".

Z widocznem wzruszeniem przyjął Naczelnik dyplom honorowego doktora i serdecznie dziękując, przemówił w te słowa:

„Magnificencyo! Szanowni Panowie Profesorowie!

Z głębokiem wzruszeniem dziękuję Panom za godność, którą mnie obdarzyliście. Jeżeli mówię o wzruszeniu, to proszę wierzyć, że wymawiam to słowo nie dla zdawkowego frazesu, zwykłego przy przyjęciach i uroczystościach. Wzruszenie moje jest szczere i wynika z dość skomplikowanych przyczyn, związanych z mojem życiem.

Jestem wychowankiem, o ile mam szkołę rosyjską nazwać wychowaniem, szkoły umieszczonej w szacownych murach młodszej siostrzycy Uniw. Jag., sławnej *Almae Matris* wileńskiej, *Almae Matris* najświetniejszych serc polskich naszych wieszczów. Byłem w niej wychowankiem w chwili największego upokorzenia tych murów, w chwili jaskrawego zaprzeczenia celu, dla którego były niegdyś wzniesione. Tym większym szacunkiem, tem większą tęsknotą napawały mnie dalekie mury Wszechnicy Jagiellońskiej, *Almae Matris* wszystkich wszechnic polskich, gdzie w jedynem miejscu ześrodkowały się wysiłki nauki polskiej. Zrozumiecie więc, Panowie,



Naczelnik Państwa w Krakowie: Naczelnik Państwa podczas uroczystości położenia kamienia węgielnego pod budowę Kliniki ginekologicznej.

wzruszenie, że właśnie tu w Krakowie dostępuję zaszczytu uznania mych prac i skromnych zasług.

Zechcieliście, Panowie, wspomnieć o mojej pracy dla prawa i umocnienia jego znaczenia w Polsce. Wzrosłem w kraju, gdzie prawem było bezprawie, gdzie każdy człowiek niemający skłonności do łapania ryb w mętnej wodzie, tęsknić musi do prawa, które stoi nad wolą, samowolą lub kaprysem człowieka. Następnie los kazał mi być żołnierzem. A żołnierza wielkie zjawisko wojny wychowuje nie w prawie, a w samowoli i gwałcie. W tych samych warunkach, co ja, rosło i wychowywało się obecne pokolenie polskie, w którem opatrzność i złe, czy dobre moje losy wyznaczyły mnie na przedstawiciela najwyższej władzy. Pierwszem mojem postanowieniem było szukanie prawa i umacnianie poczucia jego w całym narodzie. Jak sądzę praca ta odbywa się w trudnych bardzo warunkach i nie jest do załatwienia w szybkiem tempie. Rozmaitość pojęć prawnych, demoralizacya wniesiona przez wojnę, przyzwyczajenie do samowoli, nieraz nieświadome jej szukania — oto przeszkody, stojące tej pracy na drodze. Objektywnie myśląc nie mogę powiedzieć, że moje skromne usiłowania dały dotychczas wielkie, a tak pożądane wyniki, pomimo, że zawsze starałem się podtrzymać i nadać moc prawu, czy to, kiedy ono przewodzi życiu i je reguluje, czy to, kiedy łagodzi bóle i cierpienia, czy to wreszcie, gdy jest *lex dura, sed lex*. Uznanie więc ze strony tak wysokiego ciała, jakiem Panowie jesteście, pracy, której tak wielkie znaczenie nadaję, a która tak nikłe niestety przedstawia wyniki, wzrusza mnie, bo wzruszać musi.

Wreszcie proszę Dostojnych Panów zapomnieć na chwilę, że stoję przed wami jako zwierzchnik naszego Państwa, że ramiona moje są ozdobione zaszczytnym znakiem najwyższych dostojeństw wojskowych i pozwólcie, że stanę przed wami z należnym szacunkiem jako młody doktorand przed swymi nauczycielami i władzami i wyrażę swą gorącą wdzięczność, że jedynie na podstawie praktycznej i prawdopodobnie nie zawsze udolnej pracy, pracy na gruncie prawa, zechcieliście zwolnić mnie łaskawie od tak ciężkiej dla doktorantów pracy składania przed wami egzaminu".



Naczelnik Państwa w Krakowie: W oczekiwaniu na przyjazd Naczelnika Państwa na uroczystość położenia kamienia węgielnego pod budowę Kliniki ginekologicznej.

Okrzykiem „niech żyje najmłodszy doktór Józef Piłsudski" powtórzonym z zapałem przez obecnych zakończyła się uroczystość — poczem Naczelnik Państwa pożegnawszy się z profesorami i gośćmi udał się pieszo do domu akademickiego przy ulicy Jabłonowskich. Tutaj wśród okrzyków skierował się do Zarządu Tow. Wzajemnej Pomocy, gdzie w serdecznych słowach powitała Go akademiczka, Grażyna Sokołowska, prosząc, aby się czuł wśród młodzieży, jak między sobie najbliższymi, bo nikt go lepiej ocenić nie potrafi. Jedynym obecnie celem młodzieży uniwersyteckiej jest praca dla Ojczyzny, a Jej wzorem Józef Piłsudski.

Z kolei przemawiał akad. Zieleniewski, który zaznaczył, że dziś młodzież akademicka, mimo, że praca naukowa jest jedynym jej celem — stoi zawsze przy Naczelniku i ze żołnierskiem posłuszeństwem czeka jego rozkazu.

Po zwiedzeniu kuchni akademickiej udał się Naczelnik do sali Czytelni, gdzie młodzież przyjęła Go herbatą. Pod koniec przyjęcia młodzież odśpiewała kilka pieśni legionowych. Odchodzącego Naczelnika pożegnał prez. Tow. Wzaj. Pomocy, akad. Welfle.

O godz. 1. Naczelnik Państwa w otoczeniu świty, przedstawicieli ministerstw i członków Wydziału lekarskiego U. J. dokonał aktu położenia kamienia węgielnego pod gmach kliniki położniczo-ginekologicznej.

Uroczystość zagaił dyr. Kliniki prof. dr. Rosner.

Po odczytaniu aktu erekcyjnego przemówił prorektor ks. prof dr. Sieniatycki i dokonał poświęcenia, następnie przemówił jeden z robotników i w końcu słuchacz medycyny. Następnie przemówił Naczelnik Państwa.

Wieczorem wydał Naczelnik państwa obiad w sali restauracyjnej Hotelu Saskiego dla ciała profesorskiego Uniw. Jagiell., oraz reprezentantów władz wojskowych i cywilnych.

Drugi dzień swego pobytu w Krakowie poświęcił Naczelnik Państwa sprawom wojskowym. Rano odbył dłuższą konferencyę z gen. broni Szeptyckim. Następnie udał się do D. O. G., poczem o godz. 1 w południe podejmowany był śniadaniem w kasynie oficerskiem, gdzie wniesiono szereg toastów na cześć Naczelnego Wodza. Podczas śniadania orkiestra smyczkowa 1-go pułku Strzelców Podhalańskich pod batutą kapelmistrza Antoniego Wrońskiego wykonała szereg utworów muzycznych. Po śniadaniu udał się z powrotem do D. O. G., gdzie bawił do godziny 4 po południu. Po powrocie do starostwa udzielał posłuchań osobom prywatnym.

Wieczorem udał się Naczelnik Państwa do Teatru miejskiego. W westibulu przywitał Naczelnika personal artystyczny, a zalegająca westibul, oraz klatkę schodową publiczność, obrzuciła Go kwiatami.



Naczelnik Państwa w Krakowie: Uroczyste położenie i poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę Kliniki ginekologicznej.

Naczelnik Państwa zajął miejsce w loży rządowej. Z chwilą ukazania się Naczelnika w loży, odegrała orkiestra „Jeszcze Polska nie zginęła“, a zgromadzona publiczność zgotowała Mu długo nie milknącą owacyę.

Naczelnik pozostał przez dwa akty „Brzydkiego Ferranta“ w teatrze — poczem pożegnany przez artystów udał się automobilem do prezydenta Federowicza, gdzie podejmowanym był obiadem, wydanym na kilkanaście nakryć.

O godzinie 9 i pół rozpoczął się w salonach prezydenta raut, w którym wzięło udział kilkadziesiąt osób ze wszystkich sfer społeczeństwa.

Koło godziny 12-tej w nocy Naczelnik żegnany przez przedstawicieli wojskowości i władz, odjechał do Warszawy.



Naczelnik Państwa w Krakowie: Prezydent miasta Federowicz, w gronie uczestników uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego.

Trzydzieści pięć lat na scenie.

(Do ilustracyi na stronie 11.).

Krakowska scena im. Słowackiego święci w dniu 7 maja b. r. trzydziestopięciolecie artystycznej pracy niezrównanego wykonawcy ról charakterystyczno komicznych, Wacława Szymborskiego.

Jubilat pracuje na krakowskiej scenie od roku 1906. W ciągu tego czasu zyskał sobie szczere uznanie i sympatyę tak krytyki jak i publiczności a zasłużył na nie w pełnej mierze, każda bowiem z jego kreacyi jest tak sumiennie i starannie opracowaną, iż przynosi prawdziwy zaszczyt odtwórcy, umiejącemu się wżyć w intencye autora. Wystarczy wymienić role: Drwala w „Zaczarowanem kole“, Lichockiego w „Kościuszce“, Prowincyała w „Złotej czaszce“, Jaśka i Czepca w „Weselu“, cały szereg kreacyi w arcydziełach Fredry, Rittnera, Szekspira, Moliera, Fleurs'a, Kraszewskiego, Bałuckiego, Zapolskiej i Żeromskiego, a choćby tylko Wicka w „Wicku i Wacku“, Przybylskiego lub Rewizorczuka w „Karpackich góralach“, któremi przed laty trzydziestu pięciu rozpoczął swą karyerę sceniczną.

Po ukończeniu szkoły dramatycznej Trapszy wstąpił Szymborski w r. 1886 w skład trupy poznańskiej za dyrekcyi Franciszka Dobrowolskiego. — Z kolei widzimy go występującego stale lub gościnnie na deskach teatrów w Petersburgu, Łodzi, Warszawie, Lublinie i Sosnowcu. W r. 1905 powołuje go Pawlikowski do Lwowa, skąd w rok później przenosi się do Krakowa, aby tu osiąść już na stałe, gdzie stanowi jedną z pierwszorzędnych sił i prawdziwą chlubę polskiej sceny.



Naczelnik Państwa w Krakowie: Naczelnik Państwa wraz z jenerałem broni Szeptyckim opuszcza „Koszary Legionów“ przy ulicy Grodzkiej.

Na jubileuszowe przedstawienie odegraną zostanie komedya Blizińskiego „Rozbitki“, poczem nastąpi „Noc jubileuszowa“ z udziałem artystów wszystkich scen krakowskich.



Bolszewicka delegacya repatryacyjna w Warszawie: Członkowie delegacyi repatryacyjnej polskiej z przewodniczącym Stanisławem Korsakiem (X), oraz sowieckiej z przewodniczącym Efimem Ignatowem (XX) po pierwszem posiedzeniu w dniu 28 kwietnia b. r.

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

5. POWIEŚĆ.

— Wstrętne grzeczności, proszę! — zawołała p. Czarska z szyderczym uśmiechem — na co je pani przyjmowałaś, myślałaś może, że się z tobą ożeni? Pomyliłaś się moja panno, na żonę wybiera się inną, stara się o pannę Klarę i jest z nią prawie po słowie. Co zaś do mnie pojmujesz pani, że po tem com się dowiedziała...

— Nie kończ pani — przerwała Celina dumnie, bez przypomnienia opuszczę dom, w którym karmiono mnie niewdzięcznością i pracą nad siły, wpierw jednak musi pani dowiedzieć się całej prawdy. Tak jest, pan Wirski gdzie mógł narzucał mi swoją obecność, powinna była to pani spostrzedz i zapobiedz, ale wówczas nie robiła pani żadnych uwag i sama musiałam się bronić! Raz nawet oświadczył mi się, choć niczem do tego nie był ośmielony, odrzuciłam go, bo mi jest obojętny i nie myślę iść za mąż...

Tych słów jednak p. Czarska dłużej znieść nie mogła.

— On się pani oświadczył, a pani go odrzuciła — przerwała gwałtownie — i pani myślisz, że ja temu uwierzę? nie moja pani, na to mnie nie złapiesz! Nie chcąc jednak słuchać po raz drugi podobnych bredni, wymagam, abyś pani natychmiast dom mój opuściła.

— Dzisiaj — zawołała dziewczyna — cóż ludzie na to powiedzą...

— Aha trafiłam wreszcie na drażliwą strunę? — zaśmiała się z tryumfem — będąc tak niewinną nie masz pani powodu obawiać się ludzi — dodała zjadliwie.

— Masz pani słuszność! zawołała oburzona Celina — pójdę i oby ten złośliwy i nieszlachetny podstęp nie zwrócił się kiedyś przeciw pani samej.

Spakowawszy na prędce swoje rzeczy, zawołała dorożkę i kazała zawieść się do właścicielki domu, w którym niegdyś mieszkał jej ojciec.

Po dłuższym namyśle postanowiła zdać w seminaryum maturę i zostać nauczycielką rządową. Posiadając dużo inteligencyi i nie dawno opuściwszy pensyę, niepotrzebowała długiego czasu na przygotowanie. Po kilkutygodniowem ślęczeniu zdała maturę i znowu nie wiedziałaby co ze sobą robić, gdyby nie dyrektor szkoły, który ujęty jej młodością i sieroctwem pomógł w staraniach o posadę praktykantki w swej szkole. Od niedawna dopiero praktykantki otrzymywały pensyę nędzną wprawdzie, bo za 3 — 4 godzin dziennie dostawały kilka set marek rocznie, a jednak i na to liche miejsce znalazło się dużo kandydatek i tylko dzięki poparciu dyrektora utrzymała się przy niem Celina. Prócz tego dostała prywatną lekcyę i tak z nową odwagą, zaczynała to nowe życie.

Był to zimny wieczór listopadowy! Śnieg padał grubymi płatami, wicher dął przeraźliwie, a płomyki gazowe rzucały drżące światło na opustoszałe ulice.

W lekkim płaszczyku, zaledwie chroniącym od chłodu biegła Celina do domu. Obecnie mieszkała u matki znajomej nauczycielki, która tym sposobem uzupełniała swój skromny budżet domowy.

Skręciła w ulicę Bracką i weszła do jednej z owych starych, typowych krakowskich kamienic. Przeszła przez wielką sklepioną sień o grubych murach, przez cuchnące, hałaśliwe podwórko i zaczęła się wspinać po wązkich i brudnych schodach oficyny. Minęła ciasną sionkę, ciemną bez okna kuchnię i weszła w końcu do wązkiego, a długiego pokoiku.

Lampa już się świeciła, a za stołem siedziały trzy kobiety, właścicielka mieszkania p. Domejkowa i dwie jej córki nauczycielki szkoły wydziałowej. Otwarte drzwi prowadziły do drugiego, większego pokoju obecnie zupełnie ciemnego.

— A p. Celina — mruknęła p. Domejkowa niemłoda brunetka o ściągłej twarzy i czarnych świdrujących oczach. — Gdzie to pani tak długo bawiła? Dawno już jesteśmy po kawie, a to nieustanne odgrzewanie psuje cały porządek domowy.

— Zatrzymałam się trochę dłużej na lekcyi — odparła Celina zdejmując płaszczyk — a za to opóźnienie chętnie wypiję zimną kawę.

— Choćby nawet pani chciała, tobym nie odgrzewała — odpowiedziała p. Domejkowa zgryźliwie — dosyć nadrepcę się cały dzień, tyle mego spoczynku co teraz, wkrótce znowu trzeba wstać i robić kolacyę. Podwieczorek pani w piecyku, a niech pani wypije w kuchni, bo tutaj dziewczęta porozkładały już swoje roboty.

Nie było tutaj miejsca na niepotrzebne ceremonie i nikt nie zadawał sobie trudu z biedną Celiną. Co prawda za sześćdziesiąt mk. miesięcznie nie mogła żądać ani lepszego pomieszczenia nad łóżko w kąciku, ani większej grzeczności nad tę jaka ją spotykała.

Chociaż tak zwana kawa dużo pozostawiała do życzenia, ruch i dwugodzinna lekcya zostrzyły młody apetyt. Wkrótce z pękiem zeszytów szkolnych w ręku zbliżyła się Celina do stołu upatrując miejsca dla siebie.

— Co za nieostrożność! — zawołała panna Wanda wyglądająca na trzydziestkę, o bladej, szerokiej twarzy, zadartym nosku i ciemnych włosach — potrąciłaś mię, a kajeta moich uczennic, to nie zasmarowane wypracowania twoich sztubaków.

— Przepraszam — rzekła zgromiona Celina — możebyś się trochę usunęła Jadwisiu — dodała, zwracając się do młodszej siostry, typowej brunetki z czarnemi oczami, żółtawej cerze i lekkim meszku na górnej wardze.

— A gdzie — odparła nie podnosząc głowy — przecież widzisz, że rysuję.

— Więc żadna z was miejsca mi nie zrobi? — zawołała zniecierpliwiona Celina.

— Usiądź przy mamie — rzekła Jadwiga, wskazując głową na matkę robiącą pończochę.

— Przy mamie — zawołała p. Domejkowa — to już mnie wygody nie potrzeba?, dobrze, dobrze — dodała z goryczą — usunę się, nawet odejdę, może to was zadowoli.

Przy tych słowach wstała od stołu, a siadłszy w najciemniejszym kącie mówiła dalej:

— No cóż dobrze wam teraz? Takie to czasy, zamiast, żeby dzieci matce, to matka dzieciom musi ustępować.

— O, już mama zaczyna zrzędzić — zauważyła z cicha starsza siostra — i kto wie jak prędko skończy.

— Ach, żeby już lato nadeszło i nie było potrzeby pracować przy lampie — westchnęła cichutko Celina.

— Jakże tam dzisiaj poszło ci w szkole — ozwała się Wanda po chwilowej ciszy.

— Nie dziw się naszym pytaniom — zauważyła Jadwiga — jesteś jeszcze taką nowicyuszką, że się boimy, abyś nie popełniła czegoś niestosownego.

— Wtedy odpowiadałabym sama za siebie — odparła Celina spokojnie.

— Tylko się nie oburzaj, a lepiej powiedz jak tam było w szkole — przerwała Jadwiga.

— Szkoła, szkoła, czy to taka wielka filozofia? żeby tylko dzieci były spokojniejsze, tobym sobie doskonale dawała radę.

— Ba w tem właśnie leży cała filozofia — zawołała szyderczo Wanda — odkąd pamiętam moje dzieci były zawsze spokojne — odparła chełpliwie — mam wrodzony talent pedagogiczny.

— Przypominam sobie twoją początkową karyerę nauczycielską — ozwała się Jadwiga złośliwie — rozdawałaś klapsy na prawo i lewo skarżyłaś na dzieci przed dyrektorką.

— Czy miałam z tego powodu jakie nieprzyjemności? zapytała Wanda wcale nie zmieszana.

— Nie, ale tylko dla tego, że dyrektorka była chora i niedołężna.

— Przeciwnie, dlatego, że wypełniałam dobrze moje obowiązki — rzekła wyniośle Wanda — lecz co tu gadać z osobą, która po jednym egzaminie jest tak zmęczona, że musi kilka lat wypoczywać.

— Bo też mam inne widoki na przyszłość, nie potrzebuję całe życie kuć z dziećmi gramatykę.

— Czy nie zamąż pójdziecie? — zapytała Wanda szyderczo.

— Bójcie się Boga, przestańcie! — przerwała coraz gorętszy spór Celina — tak ciągle gadacie, że nie jestem wstanie poprawić tych zadań.

— Osobliwie ty nad twojemi potrzebujesz dużo wysiłku — zaśmiała się Jadwiga.

— Zważywszy moją nieudolność...

— Widziałam, że znowu przyniosłaś jakieś książki — przerwała Wanda — zapewne powieści, czy nigdy nie przestaniesz wczytywać się w te głupie fantazye?

— Przyznam się, że nadewszystko je lubię — odparła zapytana.

— Nawet w tem widać jak niedojrzałą jesteś? — rzekła Wanda namaszczonym tonem — kobieta samodzielna, a przynajmniej jak ty, dążąca do samodzielności, powinna przezwyciężyć to zamiłowanie do bajek (czem bowiem innem są powieści) a zająć się rzeczywistością wglądnąć w życie...

-- Ach cóż życie na tem straci, gdy przez chwilę czytania łudzę się, że świat jest szlachetny, że mężczyźni są bezinteresowni, a kobiety solidarne? Życie! ono czeka na mnie i nie daruje mi pewnie...

— W tej chwili wszedł elastycznym krokiem młody wysmukły brunet o bystrem spojrzeniu i regularnych rysach. Był to dr Władysław, syn pani Domejkowej, assystent w szpitalu, mający tam również bezpłatne mieszkanie.

— Dobry wieczór panno Celino, dobry wieczór dziewczęta! — zawołał zdejmując palto i rzucając je na łóżko. — Ależ tu dyabelnie ciasno i gorąco! Dlaczegoż to siedzicie w tej dziurze, kiedy macie większy pokój! Ano, dalej przenośmy się! bierzcie lampę i chodźcie za mną.

— Ależ Władek, wiesz jak mama nie lubi, kiedy siedzimy w bawialnym pokoju - zaprotestowała Wanda krzywiąc się...

— Co to za bawialny! kogo tu bawicie? — zaśmiał się p. Władysław stawiają lampę na stole wysuniętym na środek — a może tak go szanujecie dla owych wymarzonych konkurentów, którzy jakoś bardzo się spóźniają.

— Dla konkurentów, co za gadanie! — mówiła Wanda ulegając przemocy i przenosząc swoje rzeczy do dużego pokoju zastawionego tandetnymi meblami z nieodzownym fortepianem — a zresztą cóżby w tem było złego — kończyła z przymuszonym uśmiechem — czyż to nam już młodość minęła, czy postarzałyśmy się?

— Blisko, już blisko tego — odparł brat drwiąco siadając za stołem — masz ze dwadzieścia ośm lat, a panna w tym wieku...

— Proszę, dwadzieścia ośm! — zawołała z oburzeniem — szkoda, że głośniej tego nie trąbisz! Nikt by ci jednak nie uwierzył, bo i tyle nie mam i na tyle nie wyglądam — —

— Wyglądasz na więcej, wierz mi, twoja żółta cera — —

— Władek przestań, bo już dłużej nie wytrzymam! Pewnie wyprawiłeś jakiegoś pacyenta na tamten świat i dlatego jesteś taki zjadliwy.

— Nie o pacyenta tu chodzi, lecz o twoją metrykę.

— Nie chcesz mówić o pacyentach? wierzę, bo żadnego nie masz! ja, chociaż kobieta, a zarabiam więcej i gdyby nie miejsce assystenta i nie rozmaite szachrajstwa szpitalne...

— Teraz ja ci mówię przestań! — krzyknął blednąc ze złości p. Władysław — No, ktoby się z tobą ożenił, ty zjadliwa jaszczurko, ten niech się zaraz rzuci do Wisły!

Przestraszona Celina spoglądała to na jedno, to na drugie, Jadwiga zaś przysłuchiwała się z uśmiechem niby coś rysując.

— Ot p. Celina to co innego — mówił p. Władysław już uspokojony w chwalebnej intencyi pomszczenia się na siostrze — to jest okaz zdrowia, młodości, urody, prawda i to, że co lat ośmnaście to nie dwadzieścia ośm.

— Przepraszam pana, mam lat dwadzieścia jeden — odezwała się Celina.

— Cóż z tego, nie wygląda pani ani na ośmnaście i dziwię się jak mógł dyrektor wybrać panią na nauczycielkę, ręczę, że te bębny wcale pani nie słuchają i więcej hałasują na lekcyi pani jak na pauzie.

— Niestety — szepnęła Celina.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

39 I.

— Nie bardzo już — biało ubrana — włosy czarne — oczy czarne.

— Nic więcej?

— Owszem... — zawahał się Alimena.

— Co takiego?

Robert Alimena spojrzał zimno na detektywa i tem spojrzeniem dał mu do zrozumienia, że ostatnie pytanie było niedyskretne.

Dick Leslie zaś, zmarszczył brwi i odezwał się spokojnie.

— Ekscelencya powinna mi wszystko powiedzieć. Jeżeli się niema zaufania do mnie, to poco było mnie wzywać.

— Mam zaufanie do pana — odparł Alimena, który już pożałował swojego odruchu — ale nie jestem całkiem pewnym tego szczegółu.

— Jednakże ja znać go muszę.

— A więc... ta kobieta ma jednę rękę uciętą.

— Ah! — szepnął detektyw z nagłym błyskiem w oczach.

— Tak przynajmniej sądzę.. domyślam się...

— To dobrze. Czy ten człowiek należy do wyższego świata. Czy to Włoch?

— Niewiem.

— Anglik?

— Niewiem.

— Katolik?

— Zdaje mi się, że żyd.

— Czy to sprawa miłosna, czy też pieniężna?

— Nie umię na to panu odpowiedzieć. Ten człowiek jest moim śmiertelnym wrogiem. On albo ja zginąć musimy.

— Dla kobiety?

— Dla tej uciętej ręki.

— Zbrodnia?

— Być może.

— Ekscelencya posiada tę rękę — nieprawdaż?

— Tak.

— Czy mogę ją zobaczyć?

— Nie — odrzekł żywo Alimena.

— A więc nie zdziałamy nic — odparł zimno Dick Leslie.

— Nie zdziałamy nic — powtórzył spokojnie Robert Alimena.

— Ekscelencya zatem więcej kocha kobietę, do której należy ta ręka, niż nienawidzi garbusa o zielonych oczach — wyrzekł po chwili dobitnie detektyw — Jednakże ja tę rękę zobaczyć muszę. Może być, że jestem w posiadaniu śladu...

— Śladu? — zapytał Robert Alimena i oczy mu zabłysły złowrogo.

— Tak.. tak... ale jeszcze nie chcę nic powiedzieć.

— Dobrze — odparł Robert wstrząsając się nerwowo — Pokażę panu tę rękę.

— Ekscelencya pragnie koniecznie znaleść garbusa?

— Koniecznie.

— Nawet gdyby był na końcu świata?

— Tak.

— Czy Ekscelencya gotów jest ponieść koszta podróży, wydatków, wynagrodzenia?

— Tak, biorę na siebie wszystko.

— Do jakiej sumy?

— Aż do dwudziestu pięciu tysięcy franków, jeżeli zajdzie potrzeba podróży.

— A jeżeli nie?

— Wynagrodzenie z pięciu tysięcy.

— Nie dziesięć?

— Niech będzie.

— Przynoszę więc jego nazwisko i nazwisko kobiety za dziesięć tysięcy franków — oświadczył stanowczo Dick.

— Dobrze. Dam panu dwa tysiące na początek.

Robert Alimena wyszedł na kilka minut z pokoju, w którym oczekiwał na niego detektyw.

Znalazłszy się w swojej sypialni zawahał się jeszcze biorąc do ręki skrzynkę zawierającą uciętą rękę. Czy miał ją pokazać Dickowi Leslie? Był to przecież człowiek zupełnie mu obcy — człowiek, który mógł go zdradzić i przejść na stronę nieprzyjaciela. Ale wahanie trwało krótką chwilę. Jeżeli się chce dotrzeć do pewnego celu, wszystkie środki są dobre. Jeżeli chciał odnaleźć garbusa, musiał być przygotowanym na pewne ofiary.

Wziął więc w ręce cenną swoją skrzynkę i powrócił do pokoju.

— Oto jest — wyrzekł poważnie uchylając wieka. Dick Leslie pochylił się nad piękną uciętą ręką i oglądał ją czas jakiś z wielką uwagą. Ośmielił się nawet unieść ją z jej aksamitnego podłoża i próbował ściągnąć z palca jeden z pierścionków.

— Co pan robi? — zawołał Robert zadrgawszy całem ciałem.

— Nic — obserwuję — odparł spokojnie Dick nie podnosząc oczu.

Obserwował rzeczywiście jeszcze czas jakiś, ze spojrzeniem bacznie utkwionem w lekko zaróżowioną skórę i palce obarczone pierścieniami. Poczem podniósł głowę i zapytał.

— Jakim sposobem Ekscelencya doszła do posiadania tej ręki?

— Przypadkiem.

— Dawno?

— Sześć miesięcy temu.

— Kto ją dał?

— On ją przez zapomnienie porzucił.

— Gdzie?

— W wagonie — Podróżowaliśmy razem.

— Sami?

— Zupełnie sami.

— Czy Ekscelencya jest pewna, że on ją zapomniał zabrać z sobą?

— Całkiem pewnym jestem. Próbował mi ją odebrać.

— Siłą?

— Tak.

— Chciał zamordować Ekscelencyę?

— Kilkakrotnie. Udało mu się to w połowie.

— Co Ekscelencya przypuszcza?

— Podłość jakąś, zbrodnię.

— To dobrze — wyrzekł Dick ostatniem spojrzeniem obrzucając rękę — Do widzenia Ekscelencyo.

— Kiedy się zobaczymy? — zapytał niespokojnie Alimena.

— Jak tylko dowiem się o czemś. Ekscelencya nie wyjedzie z Londynu?

— Nie. W razie gdybym wyjechał pozostawię swój adres.

— Byłoby lepiej, gdyby Ekscelencya nie wyjeżdżał wcale.

— Dlaczego?

— Bo nasz człowiek znajduje się prawdopodobnie w Londynie.

— Tak pan sądzi? A więc przeznaczenie samo sprowadziło mnie tutaj.

— Prędzej opatrzność — odparł poważnie Dick Leslie. Do widzenia Ekscelencyo.

— Wkrótce — nieprawdaż?

— Mam nadzieję.

Trzy dni jednak upłynęło a Robert nie ujrzał jeszcze detektywa. Niecierpliwość jego i niepokój dochodziły już do szczytu, kiedy wieczorem dnia trzeciego, kiedy powracał z teatru powiedziano mu, że ktoś oczekuje na niego w jego pokoju. Był to Dick Leslie. Siedział przy kominku, bardzo zamyślony, co było u niego rzadkością. Wygląd jego zaniepokoił Roberta. Pomyślał sobie, że detektyw doznał porażki. Ale w takim razie po co by przychodził do niego?

— A więc? — wyrzekł siadając naprzeciw Dicka wpatrując się w niego badawczo.

— Idzie... — odparł detektyw krótko przyciszonym głosem.

— Co pan chce powiedzieć?

— Znalazłem go.

— Doprawdy? — zawołał Robert drżąc z radości, ale nie dowierzając jeszcze w zupełności.

— Mam powody, aby tak mówić.

— Gdzie on jest?

— W Londynie.

— Daleko stąd?

— Nie bardzo. Dwadzieścia minut drogi powozem — lakonicznie odpowiedział Dick.

— Jak się nazywa?

— Markus Henner.

— Z jakiego kraju pochodzi?

— Z Niemiec, z urodzenia żyd.

— Czy to on naprawdę?

— On. Mały, garbaty z przodu i z tyłu, oczy zielone, chudy, chorowity, rzadki zarost nieokreślonego koloru. Głowa nieco łysa, po bokach kilka kosmyków twardych włosów.

— Tak, to on — wyrzekł z westchnieniem ulgi Robert Alimena — Co robi?

— Jest lekarzem. Lecz nie zwyczajnym lekarzem, który naprawia nogi i ręce złamane i ogląda język choremu. Jest to specyalista od chorób nerwowych, a przedewszystkiem hypnotyzer. On nie uzdrawia, on udaje, że uzdrawia, to znaczy przekonywa swoich pacyentów, iż tak jest.

— Doktór Markus Henner — ciągnął dalej Dick Leslie — posiada olbrzymią klientelę, szczególniej kobiecą i zarabia co sam chce. Co roku zjeżdża do Londynu na dwa lub trzy miesiące i zajmuje to samo mieszkanie. Znika zaś zawsze o oznaczonej porze, nie żegnając nikogo.

— Tajemniczy człowiek — zauważył Robert.

— Bardzo tajemniczy. Jakieś osobistości podejrzane krążą koło jego domu, on sam zaś prowadzi życie najdziwaczniejsze, jakie sobie można wyobrazić. Niektórzy mówią, iż słyszeli często okropne krzyki kobiece, wydzierające się z jego gabinetu. Ma on kilku służących oddanych mu zupełnie, lecz jest jednak jeden, który potrafi go zdradzić.

— Czy przekupił go pan? — zapytał Robert Alimena gorączkowo,

— Nie zajdzie tego potrzeba.

— Tak pan sądzi?

— Jest jeden powód, który go zmusi do zdradzenia swojego pana.

— Jaki?

— On jest bardzo oddany Markusowi Henner — sądzę, że kocha go, lęka się go, ale pozatem uwielbia bałwochwalczo swoją panię.

— Jest tam więc i pani? — zapytał Robert drżącym głosem.

— Tak.

— Widział ją pan?

— W przelocie.

— Gdzie?

— Poprzez fałdy koronkowej firanki.

— Czy jest młoda? Czy piękna? — dopytywał się Alimena niespokojnie.

— Widziałem ją tylko w przelocie, powtarzam panu. Dojrzałem tylko bardzo smutne oczy.

— Smutne i dumne — dodał Robert, mówiąc jak we śnie.

— Ona już nie jest bardzo młoda — mówił dalej Dick Leslie — Wygląda na więźnia, lub też jest waryatką.

— I któż to jest?

— John utrzymuje, że jest żoną Markusa Hennera, lub też jego siostrą, a najprędzej ani jedną, ani drugą. John uwielbia tę kobietę, ale nie wie kim ona jest.

— Nie zna nawet jej nazwiska? Oh! nazwisko jej — zawołał gwałtownie Robert — Tak chciałbym je poznać.

— Nazywa się Marya — pani Marya.

— A dalej?

— Nic. Tylko to imię, Marya. Ale ona jest katoliczka i to katoliczką bardzo gorliwą.

— A więc nie jest jego żoną! — zawołał Alimena tryumfalnie.

— Może jego kochanką — szepnął Dick Leslie w zamyśleniu.

— To niemożliwe! On jest żydem!

— Mam nawet powody do sądzenia, że to żyd zajmujący ważne stanowisko między swoimi. Często bardzo przybywają do niego w dzień i w nocy całe bandy obdartych, zmęczonych współwyznawców, których on bez zwłoki przyjmuje. Mają wygląd ludzi przybywających z bardzo daleka.

— A więc to ich wódz jakiś, przełożony?

— Przełożony... tak... być może.

— A ona? ona? — pytał jeszcze Robert Alimena niespokojnie.

— Ona? Nic więcej o niej nie wiem. To musi być jego ofiara.

— Oh! tak! tak! Kiedy się pan ma zobaczyć z Johnem?

— Tej nocy.

— Gdzie?

— W restauracyi.

— Pójdę tam także.

— Nie, Ekscelencyo.

— Pójdę, chcę pójść, upierał się stanowczo Robert Alimena.

— W jakim celu?

— Pan powie, że jestem jednym z jego przyjaciół.

— John mi nie uwierzy. Nie powie nic więcej.

— Dicku Leslie! Ja tam być muszę! Pożera mnie niecierpliwość!

— Niecierpliwość — czego?

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM II.

36

— Nie mówię, żeby był złym w swoim rodzaju, lecz używając jego ślicznej łodzi mogę się zupełnie bez niego obejść — rzekła z uśmiechem. Kiedy i gdzie staniemy na noc?

— Jak się ściemni. Bers wie gdzie. Czy to nie wspaniale być zupełnie swobodnym i niezależnym? Możemy się zatrzymać gdzie się nam podoba, w samotnych miejscowościach, gdzie nie będzie turystów, którzyby się nam naprzykrzali.

— Dobrze — rzekła potakując jego zapałowi i patrząc na niego uśmiechniętemi oczami. — Unikajmy turystów i zatrzymujmy się w odludnych miejscowościach. A teraz idę na dół.

— Dlaczego, co tam będziesz robiła? Słońce wkrótce zajdzie, powinniśmy patrzeć na pierwszy zachód z Lonlii razem.

— Zawołasz mnie. Idę się uczyć przyrządzać kawę, jaką tutaj piją. Będzie mnie bawiło przyrządzać naszą kawę po lunch'u. A przytem będę miała jakieś zajęcie. Pragnę się interesować wszystkiem w tem dziwnem, nowem naszem życiu.

Objął ją ramieniem.

— Wspaniale! — zawołał. — Ale musisz przyjść na zachód słońca.

— Zawołaj, a przyjdę.

Kiedy schodziła przechylił się przez poręcz schodów i zapytał:

— Kto będzie ci dawał lekcye przyrządzania kawy?

— Hanza — odpowiedziała.

I znikła.

IV.

— Przez całą drogę na Nilu będziemy słyszeli stare pieśni — powiedział Nigel, gdy Lonlia odbiła od Keneh.

Kiedy Mrs. Armine schodziła, żeby się spotkać się z Hanzą, słyszała śpiewające głosy fellahów. Pochodziły z obu brzegów Nilu — potężniejsze ze wschodniej strony, słabsze z zachodniej, ażeby wkrótce umilknąć w złocie zachodzącego słońca. I pomyślała o śpiewie fellaha, który ją dochodził w pomarańczowym ogrodzie i jak zamyślała ratować się ucieczką, zanim się znalazła uwięziona modlitwą. Obecnie była w innem więzieniu. Lecz wtedy nieubłagane ramiona zawarły się na niej i ostatni krzyk fellaha brzmiał dzikim tryumfem. Przypomniała sobie Aidę owego dnia, przypomniała ją sobie i teraz. W młodości swej wierzyła, że namiętność, która ją zniszczyła, była namiętnością jej życia, szaleństwem zmysłów, delirium ciała, które już nigdy nie mogły się powtórzyć dla nikogo innego. Jak mało znała siebie, lub życie! Jak mało wiedziała o siłach dojrzałego wieku! Ta namiętność jej młodości wydawała się jak anemiczny cień w porównaniu z wilczym głodem, który teraz czuła. W owym czasie pozwoliła temu cieniowi zrujnować siebie; obecnie postanowiła zwyciężyć.

Kości były rzucone. Nie myślała już o ucieczce, ani o stawianiu oporu. Gdyby się jej nie udało otrzymać tego, czego pragnęła, teraz, kiedy kwitła drugą młodością, wiedziała, że już niczego nie może się spodziewać, że wszystko będzie dla niej skończone, że czarna otchłań przed nią się otworzy i że zniknie w niej na zawsze. Była desperatką pod maską uśmiechniętego spokoju, kiedy Lonlia płynęła w złocie wieczoru.

Jednakże, kiedy się znalazła w pięknej kajucie, która miała być jej buduarem, doznała ulgi, prawie radości. Komfort, wspaniałe urządzenie Lonlii dodały jej odwagi. Była już zdolną patrzeć w przyszłość. Przeszła do salonu z fontanną i złoconą kulką. Lecz dzisiaj fontanna była zatrzymana, a kulka unosiła się na wodzie, jak coś, co straciło życie. Przyszło jej na myśl, że fontanna prawdopodobnie bije wtedy, kiedy dahabijeh pozostaje w spokoju. Cudaczny potwór podobny do smoka z psią głową, którego widziała za swą pierwszą bytnością patrzał na nią i miała wrażenie, że ją wita. Rzeźbione okiennice były zamknięte, lecz otwarte drzwi prowadzące na balkon wpuszczały światło wieczoru, szmer wody i głosy odzywające się wzdłuż Nilu. Usiadła na otomanie i prawie natychmiast wszedł Hanza.

— Pokażesz mi, jak się przyrządza turecką kawę, Hanza — rzekła obojętnem, trochę leniwym głosem.

— Yes — odrzekł.

— Gdzie będziemy ją przyrządzali?

Wskazał palcem na balkon.

— Na dworze! — zawołała.

Wydawała się zawiedziona, lecz wstała i poszła za nim. Markiza była rozpięta, tak, że wierzchni pokład nie był widoczny. Kiedy to spostrzegła, chmura znikła z jej twarzy i siadła z wyrazem uwagi i twardej energii w oczach i na ustach.

Hanza już był przyniósł ruszt na żelaznych nóżkach z żarem, który zasłonił parawanikiem od wiatru. Przy nim stało naczynie z wodą, świeżo upalona i zmielona kawa, dwa małe garnuszki i dwie filiżanki, cukiernica z miałkim cukrem i kilka papierków ze wschodnimi aromatami. Hanza gotował kawę ze zwykłym nienaruszonym spokojem, nie patrząc wcale na Mrs. Armine, która mu się uważnie przypatrywała. Dopiero jak skończył spojrzał na nią.

— Już gotowa? A więc — więc mogę wsypać cukier?

— Yes — odrzekł Hanza patrząc jej w oczy.

Wyciągnęła rękę. lecz nie po cukier. W tej samej chwili głos nad ich głowami zawołał:

— Ruby! Ruby!

— Chodź tutaj! — odpowiedziała.

— Ale chcę, żebyś przyszła zobaczyć zachód słońca.

— Przyjdź najprzód.

— Dobrze.

Przyrządzanie kawy było skończone. Hanza zabrał ruszt z węglem i wyszedł.

Po chwili Nigel wszedł do mrocznego pokoju z fontanną.

— Gdzie jesteś? Ah, tutaj! Nie możemy opuścić naszego pierwszego zachodu słońca.

— Kawa — rzekła z uśmiechem.

Wyszedł na balkon i podała mu jedną z filiżanek.

— Czy sama ją przyrządziłaś?

— Nie, ale jutro już potrafię. Hanza pokazał mi jak się to robi.

Wziął filiżankę.

— Pachnie cudnie. Tak mi się jednak zdaje że ty sama ją gotowałaś.

— Pij i myśl co chcesz, niedorzeczny człowieku — rzekła żartobliwie.

Napił się trochę, co też i ona uczyniła.

— Doskonała — po prostu doskonała. Lecz co zostało do niej dodane, że ma taki wyśmienity smak, Ruby?

— Ah, to mój sekret,

Piła dalej ze swej filiżanki.

— Nadzwyczaj dobra! — rzekła.

Wskazała na papierki, które Hanza zostawił.

— Przyrządzanie jej to rodzaj świętego obrządku — rzekła. — Wrzucamy trochę z tej paczki trochę z tamtej. Następnie okadzamy filiżanki czemś z trzeciej. A wreszcie, kiedy kawa już gotowa, słodzimy ją cukrem. I oto wynik.

— Po prostu doskonała.

— Postawił swą pustą filiżankę,

— Patrz na to światło — rzekł wskazując na żółtą wodę. — Czy już skończyłaś?

— Skończyłam.

— A więc chodź na pokład.

Byli zupełnie sami. Otoczył ją ramieniem.

— Wszystko, co mi dajesz, wydaje mi się odmienne od innych rzeczy — rzekł — odmienne i daleko lepsze.

— Twoja wyobraźnia jest dla mnie bardzo uprzejmą — nadto uprzejmą. Jesteś zdolny dla mnie do szaleństwa.

— Czy jestem?

Patrzał na nią przenikliwie swemi dobremi, pełnemi zapału oczami,

— A ty. Ruby?

— Ja?

— Czy mogłabyś popełnić dla mnie szaleństwo?

Na chwilę radość jego zdawała się być przyćmioną powątpiewaniem, jak gdyby porównywał stan jej serca z swoim sercem i to porównanie zaczynało — tylko zaczynało go niepokoić.

Wiedziała, co się w nim dzieje i miękko się na nim oparła.

— Nie chciałabym tego — rzekła.

— Dlaczego?

— Nie chciałabym cierpieć. Chciałabym być szczęśliwą przez ten krótki przeciąg czasu, który mi do szczęścia pozostaje.

— Dlaczego mówisz: — krótki przeciąg czasu?

— Już nie jestem młodą, a dość cierpiałam w życiu.

— Ale przezemnie! jak mogłabyś cierpieć przezemnie? Czy nie ufasz mi zupełnie nawet teraz?

— To nie to. Lecz — to niebezpiecznie dla kobiety być zdolną do szaleństwa dla mężczyzny. To szaleństwo czuć za wiele.

Mówiła zupełnie szczerze, gdyż myślała o Barondim.

— Nie zawsze. Tylko wtedy, kiedy chodzi o kogoś słabego, nieszczerego. My — nie powinniśmy się liczyć ani wahać.

Pozwoliła mu zamknąć swe usta pocałunkiem i podczas, gdy ją całował słuchała głosów fellahów nad rzeką.

Kiedy się znaleźli na wierzchnim pokładzie, śpiewy wydały się głośniejsze. Tego wieczoru zachód słońca świecił szczerem złotem. Wśród złota rozlegały się głosy dochodzące z czarnych wybrzeży. Zawsze w Egipcie zachodzące słońce zabarwia czółna na Nilu, brzegi, drzewa palmowe, które na nich rosną, chaty wieśniacze, na czarno. Było tak i teraz, lecz Nigel widział tylko złoto.

— Nareszcie płyniemy w złocie — rzekł. — To mi przypomina ulubiony mój obraz.

— Jaki obraz?

— Obraz Watts'a „Postęp". Jest w nim cudowna gloria. Pamiętam, że mówiłem o nim z Meyerem Isaacsonem tego wieczoru, w którym was zapoznałem.

Stała oparta o poręcz łodzi. W tej chwili wyprostowała się i siadła na stojącem obok krześle.

— Z Meyerem Isaacsonem! — rzekła. — Co mu o tym obrazie mówiłeś?

Odwrócił się opierając się plecami o poręcz i spojrzał na nią.

— Mówiliśmy o postępie. Obraz jest alegoryą oczywiście — duchowego postępu w świecie i w każdym z nas. Pamiętam, jak mówiłem Isaacsonowi, że wierzę mocno w zwycięstwo dobra na świecie i w człowieku.

— A on, co mówił?

— Isaacson? Nie wiem czy podzielał w zupełności moje zapatrywanie.

— Zdaje mi się, że jest dość podejrzliwym.

— Może żąda realniejszych dowodów, niż te, które mi wystarczają.

— On jest o wiele więcej *terre à terre* niż ty.

— Oh, Ruby, tego nie wiem.

— Owszem, tak jest. To bardzo rozumny i zajmujący człowiek, ale chociaż może tego nie przypuszcza, jest *terre à terre*. Widzi nadzwyczaj jasno, lecz tylko na małą przestrzeń i nic nie uwierzy, że może istnieć coś dalszego poza jego widnokręgiem. Ty nie jesteś takim.

— On jest tysiąc razy rozumniejszym ode mnie.

— Tak, ale jest tak rozumnym, że aż nieufnym. Nigdy naprzykład nie wierzyłby takiej jak ja kobiecie.

— Oh — zaczął tonem energicznego protestu.

— Nie, nie wierzyłby — przerwała spokojnie. — Do końca świata sądziłby mnie podług mojej przeszłości. Dałby mi etykietkę: „kobieta, której trzeba się strzedz". I pomimo całego swego rozumu zupełnie błędnie tłómaczyłby moje dobre chęci, moje najniewinniejsze uczynki. Wierz mi, Nigel, my kobiety dobrze wiemy.

— Ale w takim razie musisz Isaacsona bardzo nie lubić.

— Przeciwnie, lubię go.

— Nie mogę tego zrozumieć.

— Nie wymagam od niego wzniosłych uczuć — których wymagam od ciebie — gdyż mało mnie obchodzi. Gdyby źle względem mnie postąpił, gdyby mnie nienawidził sto razy więcej, niż nienawidzi, nie czułabym się tem dotkniętą, gdyż mi jest obojętny.

— Myślisz, że Isaacson ciebie nienawidzi! — zawołał.

Zapomniał o złocie zachodu, o płynnem złocie rzeki. Widział tylko Ruby, myślał tylko o tem, co mówiła, co myślała.

— Nigel, powiedz mi szczerze, czy myślisz, że on mnie lubi?

Patrzał w dół.

— Nie zna ciebie, gdyby znał...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Rozpoczęliśmy zatem szczęśliwie miesiąc maj, nazywany przez jednych miesiącem miłości, poezyi i śpiewu słowików, przez drugich zaś miesiącem młodej rzodkiewki, szparagów i t. d. Wypadałoby zatem, czy z jednego, czy z drugiego powodu nastroić również „majowo" kronikarską lutnię, czy fujarę (co kto woli...), wybaczą przecież Czytelnicy, choć się to nie stanie, zważywszy, że majowa pierwsza kronika, jak Wenus wyłaniająca się z piany morskiej, wyłazi z kałamarza jeszcze w kwietniu, zatem w czasie, gdy o „majowych" nastrojach niema mowy, ponadto zaś z powodu końca miesiąca ma każdy nos spuszczony na kwintę, co jest chyba dość jasnym dowodem, że mu się zbiera raczej na płacz, niż radość.

Z majem łączy się wiele nadziei, które, być może, zrealizują się w samej rzeczy... w maju. W pierwszym więc rzędzie ma zostać ostatecznie rozstrzygniętą sprawa Górnego Śląska (o ile naturalnie nie stanie nic na przeszkodzie...), załatwi się spór o Wilno, Niemcy się upokorzą i wypełnią postanowienia traktatu wersalskiego, bolszewicy przestaną się zbroić przeciw Polsce, owdowiały cesarz Wilhelm oświadczy się o rękę wdowy po Mikołaju Czarnogórskim i zostanie przyjęty, co wszystko razem i każde z osobna przyczyni się do takiego poprawienia się sytuacyi ogólnej, a w ślad za nią i pokój wewnętrzny, iż poprostu zapomnimy o tem, że była wojna, a jej następstwa odbiły się tak fatalnie na naszej skórze. Są to jednak tylko nadzieje, a te jak wiadomo, bardzo często zawodzą, podobnie jak majowa pogoda.

Amator śpiewu słowików radby go słuchać całemi nocami, a tu tymczasem zimno, które rok rocznie przynoszą ze sobą starzy kawalerowie, święci Pankracy, Serwacy i Bonifacy (podobno osadzeni „na lodzie" konkurenci do ręki trzech córek św. Zofii, bezpośrednio po nich obchodzącej swe imieniny...).

Ostrożność zatem każe się z „majowym nastrojem" wstrzymać jeszcze jakiś czas, dopóki nie ustali się na dobre pogoda i temperatura, nie rozśpiewają się słowiki, nie pojawi się w większej ilości rzodkiewka, co wpłynęłoby na zniżenie jej ceny i uprzystępniło dla szerszego ogółu jej nabywanie.

Poza tem zupełnie nie „majowo" wpływa na kronikarza klin, który sobie samochcąc wbił do głowy, a tym są zbliżające się wybory do Sejmu i ewentualne kandydowanie z łona „gołej demokracyi", która na seryo zabiera się do kampanii wyborczej, a na jednem z najbardziej zagrożonych posterunków byłaby rada widzieć tak wytrawnego i realnego polityka jak kronikarz. Także i Weronika popiera tę myśl, wobec czego kronikarską mózgownicę zaprząta hannibalowska iście kwestya... Kandydować nie kandydować?...

Na czem się skończy, to dopiero przyszłość pokaże, w każdym razie kronikarz zaczął już układanie mowy kandydackiej, kłania się na ulicy wyborcom, choć ich nie zna, a Weronika na rzecz jego rozwinęła już agitacyę między przyjaciółkami, zastanawiając się poważnie i nad tem, czy ona sama nie powinna też zgłosić swej kandydatury.

Bogiem a prawdą, życie polityczne na szerszą skalę nie uśmiecha się bynajmniej kronikarzowi, który jest człowiekiem miłującym przedewszystkiem, o którym możnaby śmiało powiedzieć, jak o owym starożytnym filozofie, że „nawet w żarcie nie skłamał"... (czasami może, ale na seryo, i to jedynie „przez pomyłkę"...).

A polityka, to właśnie dziedzina życia, nie mająca nic wspólnego z prawdą, posługująca się zaś stale i z zasady obłudą i fałszem. Z tego też powodu każdego członka, który co innego czyni, co innego zaś myśli, nazywamy i w życiu prywatnem dobrym politykiem. Jedni tę nazwę uważają za zaszczyt, drudzy zaś identyfikują ją z wyrażeniem „blagier" lub „oszust", ci drudzy mają, zdaje się, więcej racyi, gdyż cała polityka, w najszerszem tego słowa znaczeniu nie jest niczem innem, jak tylko stekiem kłamstw i oszustw, celem osiągnięcia jakiegoś z góry upatrzonego rezultatu, najczęściej z pojęciem etyki stojącego w jaskrawej sprzeczności.

I to właśnie zniechęca kronikarza do wzięcia żywego udziału w życiu politycznem, do którego posłowanie mogłoby być pierwszym szczeblem.

Na te refleksye na temat polityki, naprowadza zwłaszcza bieżący tydzień. Przypada nań setna rocznica śmierci Napoleona, którą Francya będzie obchodzić bardzo uroczyście, a wraz z nią i jej przyjaciele prawdziwi i przygodni. Nawet kronikarz „Nowości Illustrowanych" został zaproszony przez prezydenta Millleranda do wzięcia w niej osobistego udziału, niestety, nie mógł skorzystać ze zaproszenia, gdyż Weronika uparła się, że i ona musi jechać, a taka podróż we dwoje byłaby połączoną z nadmiernymi kosztami, których nie wytrzymałaby dziurawa kieszeń kronikarska. Pani Paderewska, która swemu mężowi towarzyszyła we wszystkich podróżach politycznych, wpłynęła na nasze kobiety zachęcająco. Każdej z nich zdaje się teraz, że żadne ważniejsze przedsięwzięcie bez niej się nie obejdzie. Zabierają się nawet do polityki, w której są wprawdzie mistrzyniami, ale tylko o tyle, o ile się rozchodzi o życie prywatne. Natomiast szersza polityka to dla nich *terra incognita*, choć i w tej materyi zabierały bardzo chętnie głos, byle tylko módz się porządnie wygadać.

Kronikarz bardzo żałuje, że nie może być w tym czasie w Paryżu, byłby bowiem bardzo rad, mogąc na swe własne oczy widzieć, z jaką miną będą obchodzić rocznicę napoleońską Anglicy, których przecież jako najbliższych (ale nie serdecznych...) przyjaciół Francyi, na uroczystości braknąć nie może, a przynajmniej nie powinno. W każdym razie będzie im więcej „do twarzy" ze łzami żałości, boć to przecież obchód żałobny, niż z uśmiechem radości, na który musieli się silić i wywoływać go sztucznie przed kilkoma miesiącami, gdy wspólnie z przyjaciółmi swymi obecnymi dzielili radość z powodu kanonizacyi Dziewicy Orleańskiej.

Ale trudno!... Polityka tego wymaga, a to bardzo można pani i trudniej się jej nieraz oprzeć, niż nawet Woronice.

Nie należy zapominać, że w obu wypadkach Anglicy odegrali bardzo ważną rolę, choć w owych czasach występowali wobec Francyi w zupełnie innym charakterze, niż obecnie. Gdyby nie oni, Joanna D'Arc nie byłaby dziś Świętą i Patronką Francyi, im jedynie ma do zawdzięczenia, że osiągnęła palmę męczeńską. Także Anglicy przyczynili się do tego, że setna rocznica Napoleona przypaść mogła w roku 1921, więc w czasie, gdy stała się bardzo pożądaną do zamanifestowania „przyjaźni" angielsko-francuskiej, gdyby bowiem nie ich pomocna ręka, kto wie, czy Napoleon nie byłby żył jeszcze lat kilka lub kilkanaście. Ale ich „rycerskie" obchodzenie się z pokonanym wrogiem zatruło mu i tak już dość gorzkie chwile wygnania i przyspieszyło koniec. Zawiódł się Napoleon, licząc na angielską „rycerskość" — przykład jego był wskazówką dla Wilhelma, jak należy postępować, gdy bogini Fortuna obróciła się doń w r. 1918... plecami.

Dziś łączy Anglię z Francyą wspólny interes (na którym przecież może, zdaniem Anglików, wyjść lepiej Anglia...), polityka każe więc dzielić z sojuszniczką jej radości i smutki. Ten ich wzajemny obecny stosunek, tak różny od tego, jaki trwał przez całe wieki i sporo krwi kosztował, przypomina bardzo spotkanie się podczas popołudniowej kawy dwu przyjaciółek, które nie szczędzą sobie dowodów przyjaźni, prawią sobie wzajemnie komplementy, obcałowują się serdecznie, ale w kwadrans potem, znalazłszy się każda osobno, nie zostawiają na sobie suchej nitki. I dlatego to użyliśmy wyżej wyrażenia, że kobiety są mistrzyniami w politykomanii, wprawdzie tylko na mniejszą skalę, ale polegającego także na tem, aby co innego myśleć, a zupełnie co innego mówić.

Za najzdolniejszego polityka uważamy zatem takiego, który nigdy nie da poznać po sobie, co tam w nim tkwi w głębi, a jeśli się odezwie, a urząd jego jest połączony z szewskiem gadaniem, to podobnie jak wyrocznia delficka, której orzeczenie mógł każdy rozumieć jak mu było wygodniej, w gruncie rzeczy zaś nie miał o tem pojęcia, co ona miała na myśli. Wzorem takiego polityka może być poseł Daszyński, a arcydziełem jego dyplomacyi jest jego wyrażenie się w swoim czasie w austryackim parlamencie „o owym bluszczu, który oplata tron habsburski". Nieprzyjaciele jego polityczni wytykają mu to powiedzenie, dziwiąc się, skąd się socyalista mógł zdobyć na tyle ces. król. lojalności, ale widocznie nie zdają sobie z tego sprawy, że to było powiedzenie *sub figura*, a co za tem idzie, że myślał co innego, a zupełnie co innego mówił i że nie jego w tem wina, jeśli go ktoś źle rozumiał, barwa bowiem czerwona nie zmienia się tak łatwo w czarno-żółtą. Kto się uczył botaniki, ten wie o tem, że bluszcz pnie się najchętniej na murach wilgotnych, a nie trzeba być na to zawodowym budowniczym, aby być o tem przekonanym, że wilgoć, zwłaszcza od podstaw idąca, grozi ruiną najbardziej monumentalnej budowli. Jeśli zatem ów bluszcz ma opleść podstawy habsburskiego tronu, dowód to aż nazbyt jasny, że panuje tam wilgoć i że nie trzeba długo czekać, jak się rozleci.

I dziś dopiero widzimy, jak daleko przewidującym był towarzysz Ignacy i to już wtedy, gdy się jeszcze o tem nikomu nawet nie śniło. To jedno powiedzenie wystarczyłoby, aby zdobył sobie ostrogi rycerskie na arenie życia politycznego. Wówczas zdał on egzamin z polityki z postępem celującym, ci zaś, którzy mu jeszcze dziś z tego powodu czynią zarzuty, udowadniają, że o sztuce politykowania i dyplomacyi nie mają zielonego pojęcia.

I tego rodzaju powiedzenie, to właśnie majstersztyk polityczny. Trzeba być urodzonym politykiem i dyplomatą, aby potrafić się w ten sposób wyrazić. Pod listkiem figowym (w danym wypadku zastąpił go bluszcz) kryje się zupełnie co innego, i, aby to należycie zrozumieć, trzeba być także wytrawnym politykiem i nielada dyplomatą.

Polityka zatem to tylko mydlenie oczu innym, aby na tem zrobić jak najlepszy interes. Każde państwo prowadzi taką politykę, a im lepiej wyszkolonych posiada dyplomatów, tem korzystniej na tem wychodzi. Zapowiadano wprawdzie, że po obecnej wojnie polityka wejdzie na drogę uczciwą, a intrygi dyplomatyczne wezmą w łeb raz na zawsze, a jak okazuje obecne stosunki nic się nie zmieniło. Piękny przykład praktycznego polityka daje nam Lloyd George, który, choć nie fryzyer z zawodu, mydli na prawo i na lewo, strzyże i goli, ale zawsze tylko tak, aby Anglia wyszła na tem dobrze, a jej sojusznicy niech sobie robią co im się podoba. Najciekawiej przedstawia się jego stosunek do Rosyi bolszewickiej, której rządu oficyalnie nie uznaje, gdyż tak każe przyzwoitość, ale równocześnie prowadzi z nimi rokowania, podyktowane interesem.

Taka polityka nazywa się światową i jest prowadzoną na szerszą skalę, nie różni się od niej przecież i wewnętrzna krajowa, mająca rozmiary nieco skromniejsze, ale również interes na pierwszym planie. Mieliśmy tego przykład za czasów austryackich, nie inaczej dzieje się też i w odrodzonej Polsce. Politykę prowadzi każde stronnictwo na swoją rękę, mając na oku interesy partyjne, nie zawsze biegnące po tej samej linii, co interesy ogółu, prowadzi ją też i każdy z posłów, nie zapominający o tem, że zdrowy rozum każe się starać przedewszystkiem o to, aby mnie było dobrze, potem dopiero przychodzi kolej na stronnictwo, wreszcie i na ogół o ile naturalnie urzędowanie pana posła trwa tak długo, iż mu na to starczy czasu.

Przed wyborami każdy z kandydatów obiecywał się kierować zupełnie innym porządkiem. Zaklinał się na wszystkie świętości, że cały zapas sił i dobrej woli poświęci ogółowi, potem dopiero pomyśli o interesie stronnictwa, dla siebie nic nie żądając, prócz... mandatu poselskiego.

Obywatele wyborcy, nie będący politykami, i nie zaglądający pod listek figowy, lub bluszcz, co się tam kryje, uwierzyli zapewnieniom i obdarzyli kandydata zaufaniem. Pojechał tedy pan poseł do Wiednia i od pierwszej chwili pobytu nad Dunajem myślał tylko o tem, aby go kto nie uprzedził w zdobyciu jakiejś synekury, koncesyi lub czegoś podobnego. Myślał przy tem tylko o sobie samym, na ustach miał zawsze bardzo piękne słowa o pomocy dla kraju. — I wychodził na tem zazwyczaj dobrze. Wyjeżdżał z kraju goły, niczem turecki święty, wracał zasobny, lub zostawał we Wiedniu, twierdząc, że mu tamtejsze powietrze lepiej służy, a wyborcy o ile zechcą go i nadal obdarzyć swem zaufaniem, znajdą go i tam.

Gdy się przypadkiem znalazł ktoś, kto mu zarzucił sobkostwo, przysięgał się, że dla siebie nic nie robi, a chyba winy nie ponosi, jeśli rząd ma do niego zaufanie i daje tego dowody. Zresztą kraj i na tem korzysta, jeśli nie materyalnie, to, bodaj moralnie.

Druga kategorya naszych posłów nie myślała wprawdzie o interesach ani własnych, ani nawet partyjnych, mając zamiar oddać się jedynie pracy na rzecz ogółu, lecz zbyt powodowała się obawą, aby przypadkiem nie narazić się ces. król. rządowi, na czem oczywiście kraj wyszedłby najgorzej. Piękne ich zamiary nie wyszły zatem nigdy ze sfery ideałów, nie możebnych do osiągnięcia i pozostały zamiarami. — Bardzo chętnie pokazywali się w przedpokojach panów ministrów, aby się ująć za krzywdzonym stale przez rząd centralny krajem, na widok jego ekscelencyi zapominali przecież, z czem przyszli i godzili się na to, co łaskawie kapnęło z wiedeńskiego stołu, byle tylko nie przyczynić kłopotów „Wysokiemu Rządowi". A jeżeli nieszczęście do tego chciało, że „najjaśniejszy pan" raczył któregoś najmiłościwiej poklepać po plecach, radość nie miała granic. Pan poseł czuł się za życia wniebowzięty i uważał, że obowiązki swoje spełnił należycie, splendor bowiem, jaki spłynął na niego, musiał się udzielić i krajowi. Mieli oni przynajmniej „czyste ręce" i to jedyna ich zasługa. Po powrocie do kraju tłomaczyli się, że chcieli jak najlepiej, jeśli jednak nie mogli, to nie ich wina.

Nie brakło oczywiście i ludzi, którzy całem sercem chcieli służyć krajowi, cóż jednak poradzi jednostka, mając przeciw sobie cały ogół. Własne stronnictwo podcina im skrzydła, bojąc się, by nie zaszkodzili jego interesom. — Na takiego polityka kronikarz w sobie sił nie czuje.

Bolszewicka delegacya repatryacyjna w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 4).

Z końcem ubiegłego miesiąca przybyła do Warszawy delegacya rządu sowieckiego, mająca się zająć sprawą repatryacyi jeńców wojennych i zakładników. Sprawa ta nader piekąca, nie mogła dotąd pomimo podpisania odnośnej umowy między oboma rządami — doczekać się realizacyi. Los jeńców polskich i zakładników, jak juz donosiliśmy w jednym z poprzednich numerów, jest pożałowania godny. Ze strony rządu sowieckiego są oni stale narażeni na najrozmaitsze szykany i prześladowania, traktuje się ich na równi ze zwykłymi zbrodniarzami, a wszelkie starania misyi polskich i zagranicznych „Czerwonego Krzyża" o ich uwolnienie, ewentualnie ulżenie ich doli, pozostawały z reguły bez skutku. To skłoniło rząd polski do poczynienia energiczniejszych kroków, w następstwie czego, wysłane do Polski specyalną delegacyę, złożoną z kilkunastu osób, mającą za zadanie rozpocząć w tym kierunku rokowania z przedstawicielami władz polskich.

Delegacya bolszewicka przybyła do Warszawy pociągiem kolejowym, wiozącym delegacyę polską, wracającą z Moskwy. W skład delegacyi wchodzą mężczyźni i kobiety władający przeważnie ęzykiem polskim jest między nimi także kilku Polaków. Jak donoszą pisma warszawskie, dobór członków, pozostawia wiele do życzenia i może być raczej uważany za prowokacyę Polski, niż za chęć wejścia z nią na drogę porozumienia. Widzimy tam osobistości tego rodzaju jak Wnorowski, który „ma ręce uwagą, że delegacye bolszewickie rozpoczynają natychmiast po przybyciu na obce terytoryum pracę agitacyjną na rzecz republiki sowietów, radzą też mieć się przed niemi na ostrożności.

Usposobienie ludności warszawskiej wobec bolszewików charakteryzuje fakt, iż znany siłacz tamtejszy, Maćkiewicz, na wiadomość o przybyciu delegacyi dostał ataku szału, w czasie którego nie mogąc złości swej wywrzeć na przybyszach, skierował go na meble, które powyrzucał przez okno i trzeba było wezwać pomocy straży ogniowej, która dopiero strumieniami wody z sikawki parowej zdołała ubezwładnić szaleńca.

Członkowie delegacyi przedstawili się w Ministerstwie spraw zagranicznych, gdzie zostali przyjęci przez szefa kancelaryi Przeździeckiego, w dniu zaś 28-go kwietnia b. r. odbyli z polską delegacyą pierwsze wspólne posiedzenie.

Pogrzeb ex-cesarzowej Augusty.

Pogrzeb byłej cesarzowej niemieckiej, który się odbył w dniu 19 kwietnia br. dał monarchistom niemieckim sposobność do głośnego zamanifestowania swej lojalności dla Hohenzollernów. Zwłoki zmarłej miały być pierwotnie złożone na wieczny spoczynek w Doorn, otoczenie Wilhelma wpłynęło na zmianę decyzji.

Pogrzeb cesarzowej niemieckiej odbył się w Poczdamie wśród niezamąconej ciszy i przy licznym udziale publiczności, przeważnie złożonej z kobiet i z wojskowych. Rząd holenderski sprzeciwił się gonie przy zwłokach, przy których na zmianę czuwali przez noc. Nad ranem pociąg stanął na ziemi niemieckiej. Oczekiwało nań najwyżej 500 osób,



Pogrzeb ex-cesarzowej Augusty: Brama pałacowa w Doorn pomysłu ex-cesarza Wilhelma.

z pośród byłych towarzystw wojskowych i organizacya monarchiczna z muzyką. Jeden tylko sztandar uczestników wojny 1871, owinięty krepą powiewał nad tłumem, gromada dzieci miejscowej szkoły odśpiewała hymn, poczem pociąg zwolna ruszył w dalszą drogę przy dźwiękach marsza żałobnego.

W Poczdamie już w willę pogrzebu wszystkie hotele były przepełnione, a w sam dzień pogrzebu



Pogrzeb ex-cesarzowej Augusty: Karawan ze zwłokami ex-cesarzowej.



Pogrzeb ex-cesarzowej Augusty: Członkowie rodziny Hohenzollernów: żona b. następcy trono Cecylia, oraz książęta Eitel-Fryderyk, Augusta, Adalbert i Oskar za karawanem.

po łokcie unurzane we krwi polskiej", lub Sosnowski, Biełorusow, kaci ludności polskiej i rosyjskiej.

Ludność Warszawy zajęła wobec bolszewickiej delegacyi nieprzyjazne stanowisko. Spodziewał się tego rząd polski, dworzec kolejowy był też w dniu przybycia delegacyi strzeżony przez policyę pieszą i konną, wzmocniono również posterunki na ulicach wiodących do hotelu „Royal", który za dziewięć milionów marek wynajęto na pomieszczenie bolszewickich gości. Z niechęci, której objawów im nie szczędzono, nie wiele przecież sobie robili i zaraz po przybyciu wybrali się na przejażdżkę po mieście w przywiezionym przez się automobilu, ozdobionym czerwoną chorągiewką i inicyałami republiki sowieckiej. Niektóre z organów warszawskich zwracają



Pogrzeb ex-cesarzowej Augusty: Ogólny widok rezydencyi ex-cesarza Wilhelma w Doorn w Holandyi.

temu, aby b. cesarz i następca tronu towarzyszyli zwłokom, nawet do granicy niemieckiej, wobec czego udział ich w pogrzebie ograniczył się do nabożeństwa, które odbyło się w dniu przeniesienia zwłok do pociągu, oraz w krótkim pochodzie od rezydencyi cesarskiej w Doorn do dworca kolei.

Na wyraźne życzenie cesarza Wilhelma, władze holenderskie trzymały publiczność w odległości 200 metów od pociągu i skierowały pochód bocznemi drogami. Mimo to ciekawych, wśród których byli licznie reprezentowani korespondenci pism całego świata, było mnóstwo. W parku Doorn płonęły, według starego niemieckiego zwyczaju „oczyszczające ognie". Pochód przybył na dworzec w Maam o godzinie 11 wieczorem. Poprzedzali go żandarmi holenderscy w samochodach, za którymi jechał samochód zapełniony wieńcami, następnie niski karawan, na którym spoczywała trumna cesarzowej, osłonięta purpurowem suknem ze złotym krzyżem na wierzchu. Bezpośrednio za trumną szedł cesarz w błyszczącym srebrnym hełmie, za nim kronprinz w mundurze huzara śmierci, książę Henryk, Oskar i Adalbert, księżne i panie ze świty osłonięte krepowymi welonami.

Wagon zamieniony na kaplicę, wybity białym atłasem, ozdobny w wieńce z zieleni, tonął w świetle elektrycznem. Po krótkiej modlitwie pastora, wniesiono trumnę do wagonu, do którego weszli cesarz, książęta i adjutanci monarchini holenderskiej. Po krótkiej chwili cesarz opuścił wagon, dawnym, władczym gestem odrzucił długą szarą pelerynę, w którą był otulony, oddał wszystkim ukłon wojskowy i pospiesznie wsiadł do samochodu, aby powrócić do samotnego domu w Doorn.

Książęta i panie ze świty zajęły miejsca w wapociągi, statki, samochody przywoziły coraz to nowych uczestników. Samych statków naliczono 80, w pociągach tłoczono się nawet na stopniach, do przewożenia ciekawych z Berlina służyły wozy i samochody ciężarowe.

Ściany byłego pokoju cesarskiego na dworcu w Wildpark pokryto czarnem suknem i rozciągnięto czarny dywan od progu do miejsca, w którym stanął pociąg. Liczni uczestnicy orszaku z b. następczynią tronu na czele zgromadzili się na dworcu o godz. 9 i pół rano, w chwilę później nadszedł pociąg żałobny. Trumnę ustawiono na karawanie zaprzężonym w cztery czarno konie i pochód ruszył. Na czele postępowało duchowieństwo, za nim delegacye oficerów b. pułków gwardyi imienia cesarzowej, za niemi karawan, przy którym na czterech rogach szli rycerze Czarnego Orła. Za trumną członkowie rodziny cesarskiej i innych b. niemieckich domów panujących, Hindenburg, Ludendorf, Mackensen i Tirpitz, następnie przedstawiciele stowarzyszeń studenckich, sportowych i t. d.

W pogrzebie wzięły także udział prawicowe organizacye rosyjskie, przebywające w Berlinie, które złożyły wieńce.

Klub rosyjski reprezentował Rimskij Korsakow, Sokołow Baranskij i bar. Wolff. Oficerowie b. grodzieńskiego pułku huzarów, którego szefem była zmarła cesarzowa, wystąpili w mundurach wojskowych. Dalej byli obecni płk. Freiberg, przedstawiciel atamana Siemionowa oraz deputacye związku oficerów rosyjskich, armii i floty, zachodniej armii ochotniczej i armii Bermonta-Awałowa ze swym szefem na czele.

Pochód zajmował przestrzeń co najmniej 3 kilometrową. Porządek panował wzorowy. Karty, upo-

ważniające do udziału w pogrzebie poddawano ścisłej kontroli.

Zwłoki cesarzowej złożono w starożytnej świątyni, którą Fryderyk II. wzniósł w parku Sans Souci w 1768 r. i którą cesarzowa zamieniła na kaplicę.

Berliński korespondent „Dèbats" podkreślając dziwną obojętność z jaką stolica przyjęła wieść o śmierci byłej monarchini przypomina, że Mirabeau, który w 1786 r. był świadkiem pogrzebu Fryderyka II. pisał w dwa lata później: „Dusza moja wzdryga się na wspomnienie widowiska, jakie zdumionym moim oczom przedstawił Berlin w dniu śmierci bohatera, który za życia budził podziw, lub nakazywał milczenie światu. Było cicho, nikt nie był smutny, każdy był zajęty, nikt nie był strapiony, ani żalu, ani westchnienia, ani pochwały!"

W 1873 r. podczas pogrzebu królowej Elżbiety-Ludwiki wynikły tarcia z powodu ceremoniału. Bismark założył protest przeciw temu, że mu wyznaczono miejsce w pogrzebie po feldmarszałkach i protest jego został uwzględniony.

„Nie ma obawy, aby kanclerz Republiki niemieckiej Fehrenbach nie ustąpił miejsca Hindenburgowi na pogrzebie Wilhelmowej II. i nie ma obawy, aby w pochodzie brakło nazwisk takich jak Moltke, Jagow, Goltz, Dohna i t. d., tych samych nazwisk, które 111 lat temu figurowały na pogrzebie królowej Ludwiki. Królowie i królowe pruskie mijają, rasa junkrów trwa".

Pogrzeb dał powód do wielkich manifestacyi nacyonalistycznych. Nie było prawie domu w Berlinie, na któremby nie powiewała chorągiew o barwach narodowych.

Książę Eitel-Fryderyk wystosował w imieniu ex cesarza Wilhelma za pośrednictwem biura Wolffa podziękowanie za liczny udział ludności berlińskiej w pogrzebie cesarzowej. Podziękowanie to głosi między innemi:

„Jego cesarska mość cesarz i król polecił mi wyrazić swe głębokie podziękowanie za udział szerokich kół w żałobie po stracie niepowetowanej, którą ponosi nasz dom".

Zgon byłej cesarzowej niemieckiej postanowiły widocznie wyzyskać koła monarchistyczne w Niemczech do celów swej polityki. Prasa, stojąca na usługach monarchistów rozpisuje się szeroko o niedoli rodziny cesarskiej na wygnaniu. Związek oficerów i partye polityczne wydały odezwę, wzywającą do przybrania żałoby na znak uczuć patryotycznych.

Rząd niemiecki pozwolił na pogrzeb według ceremoniału dworskiego. Wydano zarządzenie, aby zapobiedz ewentualnym rozruchom ze strony mas robotniczych. Niemieckie dzienniki górnośląskie ogłosiły wspólną odezwę wszystkich katolickich biskupów w Prusach, w której polecaj; proboszczom, „aby uczcili w sposób pełen pietyzmu pamięć dostojnej cesarzowej bardzo zasłużonej i ciężko przez los doświadczonej". Odezwę podpisał także biskup wrocławski, którego władza, jak wiadomo, sięga jeszcze dotąd na Górny Śląsk, za aprobatą wprawdzie komisarza kościelnego w Opolu.



Pogrzeb ex-cesarzewej Augusty. Marszałek Hindenburg (1), jenerał Ludendorf (2) i admirał Tirpitz (3) w orszaku pogrzebowym. Szpaler tworzą narodowe stowarzyszenia studenckie.



Ze sportu: Członkowie warszawskiego Klubu piłki nożnej „Polonia".

Z polskiego Parnasu.

Antoni Waśkowski jest urodzonym lirykiem. W poezyach jego górują szarpiące dusze tony bezdennej melancholii. Ogromnie smutne są liryki Waśkowskiego, gdyż przedewszystkiem one to mają największą i bezwzględną wartość, oddając w świetnej formie tęsknotę duszy ludzkiej za czemś nieuchwytnem i dalekiem.

W wytwornych słowach przedstawił twórczość A. Waśkowskiego prof. M. Szyjkowski na wieczorze w d. 14 kwietnia b. r. w „Związku artystów". Prof. Szyjkowski dał interesujący przebieg jego twórczości od pierwszego utworu dramatycznego „Sąd", później powieści „Błędne drogi", aż do poezyi lirycznej. Zaznaczył, że wybija się w nich przedewszystkiem szczerość, głębia i melancholijność wiersza, wyróżnił stance i sonety oraz zaznaczył również, że u Waśkowskiego wysuwa się na czoło liryka erotyczna. Jego poemat erotyczny ma ustępy tak piękne i niepospolite, że nasuwa się porównanie z „Szwajcaryą" Słowackiego. Waśkowski odczuwa również i malowniczo opisuje pejzaż wsi polskiej, zaznaczając związek wewnętrzny człowieka z przyrodą wiejską lub tatrzańską. Prócz tego zwrócił jeszcze uwagę na „Zawiszę Czarnego", poemat epicki, w którym z siłą jest oddany pierwiastek rycerski i bohaterski.

Wyjątki z utworów wygłoszone nastrojowo przez pp. Malicką i Wysockiego, artystów „Bagateli", wypadły bardzo udatnie.

Dla ilustracyi wysokiej wartości liryki A. Waśkowskiego, podajemy jeden z jego najpiękniejszych wierszy:



Pogrzeb ex-cesarzowej Augusty: Mauzoleum w Sans-Souci pod Poczdamem, grób rodziny Hohenzollernów.

WĘDROWNE PTAKI.

W nieogarniętą lecą dal
bez końca, gdzieś bez końca...
pod blado-siną nieba stal,
w gasnący pożar słońca.

Nieogarnięty tęsknią mórz,
za wieczną rwą się ciszą,
w poświacie konających zórz
nad wodą się kołyszą.

I lecą pełne przeczuć złych
i doli ladajakiej —
ptaki mych snów i tęsknot mych
wędrowne wiecznie ptaki.

Skrzydła ociekłe świeżą krwią
nad własną łamią duszą —
ptaki, co próżno gdzieś się rwią,
a rwać się muszą... muszą...

Ze sportu.

Przyjazd Warszawiaków był oczekiwany z wielkiem naprężeniem, gdyż wiadomem było, że tym



Z polskiego parnasu: Antoni Waśkowski, jeden z wybitniejszych współczesnych liryków polskich.

razem „Cracovia“ będzie się starała powetować porażkę zeszłoroczną w stosunku 3:2.

Gra „Polonii“ była bardzo ładna, nieliczne przeprowadzone ataki były bardzo niebezpieczne i zagrażały bramce „Cracovii“. Na pierwszy plan wybił się bramkarz „Polonii“, jego szybka oryentacya, dobre ustawianie się i zwinność świadczyły chlubnie o jego sprawności.

„Cracovia“ technicznie opanowała boisko, a atak działał bardzo sprawnie. „Cracovia“ pierwszy punkt uzyskuje w 34 min. przez Kotapkę strzelony w lewy róg, drugi w min. 42·50 strzelony z karnego.

Po pauzie „Polonia“ atakuje zawzięcie lecz bezowocnie.

„Cracovia“ 1 min, 30 sek. uzyskuje trzeci punkt przez Koguta, czwarty punkt uzyskuje Cikowski bajecznym strzałem w lewy róg w 4 min. 50 sek., w 12 min. 30 sek. zdobywa Kotapka z podania Mielecha punkt piąty, a niedługo potem bo w 14-tej min. Mielech ślicznym strzałem z prawego skrzydła pakuje piłkę w prawy róg zdobywając punkt szósty.

U Warszawiaków uwidacznia się pewna kombinacya czego wynikiem, iż zdobywają ślicznym strzałem pierwszy i ostatni punkt dla swych barw.

Zwycięstwo „Cracovii“ zakończył Kałuża zdobywając w 35 min. punkt siódmy i ostatni.

Równocześnie na boisku „Makkabi“ odbył się match między lwowską „Pogonią“ i „Makkabi“.

„Pogoń“ odniosła zwycięstwo lecz bardzo znikome i świadczące, że siły tym razem były równomierne.

„Pogoń“, przyjeżdżając do Krakowa spodziewała się lepszego wyniku, lecz niestety nadzieje tym razem zawiodły.

Match „Cracovii“ poprzedziło spotkanie „Cracovii II.“ „Podgórze“ o mistrzostwo klasy „A“. Walka zakończyła się ostatecznym wynikiem w stosunku 1:1. *Ezdo.*

Z półek księgarskich.

Poczet królów polskich. — Wydawnictwo Salonu Malarzy Polskich w Krakowie, ul. Floryańska 37. — Cena 220 Mkp.

Staraniem ruchliwego „Salonu Malarzy Polskich“ opuściła prasę większych rozmiarów tablica, przedstawiająca poczet królów polskich, których podobizny, odbite trójbarwnym drukiem, wykonane zostały przez znanych artystów malarzy Stroynowskiego i Papieskiego według rysunków mistrza Matejki. Obok każdej z nich zamieszczono krótki rys dziejów panowania danego władcy. Wydawnictwo, bardzo starannie wykonane, może stanowić ozdobę każdego domu polskiego, przedewszystkiem zaś sal szkolnych.

Nowości wydawnicze. Nakładem „Biblioteki Polskiej“ w Warszawie ukazały się czwarte wydanie powieści Jerzego Żuławskiego „Na srebrnym globie“; przekłady Boya: Balzaca „Ostatnie wcielenie Vautrina“ i dwa tomy „Komedyi“ A. Musseta; Tadeusza Rittnera, powieść: „Duchy w mieście“ i Józefa Weyssenhoffa cykl myśliwski „S o b ó l i p a n n a“.



Trzydzieści pięć lat na scenie: Wacław Szymborski, art. dram. Teatru im. Słowackiego w Krakowie.

„Śląsk wraca do Polski“. Wydawnictwo im. Maryi Wysłouchowej wystąpiło z książeczką, której rozpowszechnienie jak największe leży w interesie narodowym. Celem jej uchylić rozbieżność w ocenie wyników plebiscytowych. Jestto referat uzasadniający rzeczowo rezolucye, które uchwalone zostały na wiecach w całym kraju. Wydawnictwo im. M. Wysłouchowej dobrze zasłużyło się wydaniem tej pracy.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył S. Waligórski, Warszawa.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą jedną z najgłówniejszych uchwał naszego Sejmu:

— ola
— mar
— oga
— oła
— oga
— ork
— uła
— ral
— yna
— ard
— gat

Kryształówka.

Ułożył J. Sas, Lublin.

Kwadraty i kreski zastąpić literami aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kresek czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie:

■ — —
— ■ —
— — ■

Znaczenie wyrazów: 1. Urzędnik we Francyi, 2. Dopływ Wisły, 3. Poeta polski.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył X. Y., Lwów.

Z podanych liter ułożyć ważną datę z dziejów Polski:

a, c, e, i, j, m, r, t, z.

REBUS.



Zgłoskówka.

Ułożył S. Sokołowski, Warszawa.

Z każdego tytułu wyjąć jedną zgłoskę, a otrzymamy epizod z dziejów naszych:

Konfederaci barscy, Osty i ciernie, Rotułowicze, Lukrecya Borgia, Asan, Potrzeba wiedeńska, Dynamika ciepła, Z małego garnizonu, Madonna Busowiska, Jamioł.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) J. U. Niemcewicza: „Jan z Tenczyna“ (romans historyczny); 2) Kalendarz familijny na r. 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 17.

Logogryf: W, ryś, Wacek, Kazań, nów, Kałka, Mekka, Nee, rower, Pasek, oko, 1.

Łamigłówka: Podział Śląska Górnego.

Zgłoskówka: Konferencya w Londynie.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: A. Wróbel Tarnów, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, H. Boratyńska Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, W. Dutkiewicz Przemyśl, K. Kozłowski Sandomierz, M. Lisowski Stanisławów, H. Malinowski Warszawa, W. Teodorowicz Warszawa, Z. Zawadzki Stryj, J. Jabłoński Lublin, J. Martynowicz Kraków, J. Bielawski Rzeszów, S. Piekarski Poznań, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Zombek Lwów. K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Michalczyk Poznań, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Samocka Stanisławów, H. Sadowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, M. Brandys Kraków, H. Blonder Chrzanów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, H. Waligórski Tarnów, H. Malczewska Warszawa, H. Maciejowski Lwów, H. Walewska Kraków, M. Wysocka Jasło, J. Opolski Łódź, S. Sadowski Warszawa, S. Kowalski Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rozwadowski Poznań, M. Kastory Lwów, Z. Zawadzka Kielce, W. Maciejska Kielce, M. Czeczótka Limanowa, H. Blonder Chrzanów, H. Mąka Kraków, I. Ryba Kraków, J. Weiss Kraków, E. Gugulski Jędrzejów, S. J. u p. Kuczmierczyka Kraków, M. Brandys Kraków, H. Radelli Tarnów, W. Korman Tarnów, S. Wołoszyn Rzeszów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) A. Wróbel Tarnów (książka), 2) H. Malczewska Warszawa (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

WY

którzy cierpicie a nikt was nie uleczył pocieszcie się!

Metoda profesora Chittendena przywraca w krótkim czasie zdrowie w sposób fenomenalny. Wszystkie choroby żołądka, kiszek, nerek, wątroby, wszelkie katary i zapalenia, straszne bóle głowy, blednicę, żółtaczkę, wrzody i zanieczyszczenia skóry leczy bez żadnych kosztów i gruntownie. Opis metody wysyła za nadesłaniem 41 mp. „Promień“, Kraków, Plac WW. Świętych l. 8.

BÓL GŁOWY I MIGRENĘ

usuwają natychmiast proszki

„MIGRENO-NERWOSIN“

Z KOGUTKIEM

Żądać w aptekach i drogerjach.

Zastępstwo na Małopolskę.

WACŁAW NIZIO i Ska Kraków, Krupnicza 7

Pióra boa fantazyjne

kwiaty sztuczne

poleca hurtownie i detalicznie

Wincentyna Górska

w Krakowie, Floryańska 18.

Album Legionów Polskich

Zeszyt I.

Cena 40 marek

Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“.

Wielkie korzyści

PP. Kupcom i Przemysłowcom

przynosi

abonowanie poniżej wymienionych w całej Polsce znanych i jedynych pism fachowych:

Tygodnik „Kupiec“ prenumerata kwart. M. 28·—

„ „Drogerzysta“ „ „ 28·—

„ „Przegląd włóknisty“ „ 28·—

Dwi „ „Dom gościnny“ „ „ 9·—

Zeszyty próbne wysyłamy za nadesłaniem

2 Marek.

Adres zamówień:

POZNAN, UL. WIELKA 10.

Istniejący od lat dwudziestu

Handlowo-przemysłowy Związek katol. krawców

Stowarz. zarej. z ogran. poręką.

w Krakowie, Floryańska 7.

przyjmuje zamówienia na ubrania męskie podług miary, z własnego lub powierzonego materyału. Obsługa rzetelna, terminowa. — Suknie dla Przew. Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. Sprzedaż materiałów na kostyumy męskie i na damskie.

GONIEC KRAKOWSKI

Wielkie pismo codzienne o bardzo bogatym dziale politycznym, społecznym i gospodarczym, referowany przez pierwszorzędne pióra polityczne.

Zamieszcza najświeższe informacye telefoniczne i telegraficzne. Posiada doskonale zorganizowaną sieć własnych korespondentów.

Przynosi: najświeższe informacye z kraju i zagranicy, w szczególności handlowe i giełdowe, wszelkie projekty Rządu i Sejmu na polu gospodarczem, oraz wszelkie zarządzenia Władz w tej dziedzinie, omawiając je szczegółowo i krytycznie.

Obfitą i wyborową treść uzupełnia nadto dział: naukowy, wojskowy, literacki i artystyczny. Doskonałe migawki humorystyczne, dział szaradowy (co drugą niedzielę 6 cennych nagród), dział mód, wyborne powieści. i. t. d.

DZIAŁ OGŁOSZEŃ

zapewnia inserentom pierwszorzędne korzyści.

Do nabycia na całym obszarze Rzeczypospolitej. — Na żądanie wysyła się numery okazowe.

W Administracyi Nowości Illustrowanych

jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

(Kalendarz z 1914-15-16 roku).

Cena 50 Marek polskich.

TARG POZNAŃSKI

WYSTAWA WZORÓW

PRZEMYSŁU WSZELKIEGO RODZAJU

odbędzie się w Poznaniu od 28 maja do 6 czerwca 1921 r.



Targ Poznański zgromadzi wzory wszystkich gałęzi przemysłu.

Targ Poznański będzie generalnym i pierwszym w Polsce Odrodzonej przeglądem sił gospodarczych.

Targ Poznański powinien być wspaniałą demonstracyą zdolności wytwórczych naszego narodu wobec zagranicy.

Miejski Urząd Targu Poznańskiego podejmuje się przydziału mieszkań dla gości i wystawców na warunkach najdogodniejszych i w tym celu uprasza o możliwe wczesne zgłoszenia.

Adres telegraficzny: „TARG POZNAŃ“.

„ pocztowy: Miejski Urząd Targu Poznańskiego Nowy Ratusz (tel. 42 51).

Conto: Bank Przemysłowca — Poznań.

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

PIOTR REPETOWSKI

Kraków, św. Tomasza l. 32.

Introligatornia maszynowo-motorowa

podejmuje się wszelkich robót tak pojedynczych jak hurtownych.

PRZEMYSŁOWCY! PRZEMYSŁOWCY!

IMPORT & EKSPORT

Towarzystwo Handlowe Imigracyi Stanów Zjednoczonych Ameryki

ma wielki zbyt na towary polskiego wyrobu. Również zamówienia z kraju uskutecznia bezzwłocznie. Piszcie lub telegrafujcie do IMMIGRANT COMMERCE ASSOCIATION

Adres telegraficzny: „IMCOM BUFFALO“.

Wszelkie poszukiwania i informacye załatwia się natychmiast.

L. A. Prosiński, Prezydent. 1078 Broadway

W. J. Bukowski, Vice-Prezydent. Buffalo, N. Y. U. S. A.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Kliszę własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.